

Pamiętaj o Stwórcy

Pamiętaj o swoim Stwórcy w kwiecie swojego wieku...

Wspomnienia siostry Heni Thol

Często głównym celem czytania czasopism lub książek jest poznanie jakiejś historii. Człowiek już od urodzenia staje się badaczem, poszukiwaczem rzeczy niepojętych i niezrozumiałych dla siebie, próbując odpowiedzieć, dlaczego tak, a nie inaczej. Będąc chrześcijaninem bardzo ważne jest zaobserwowanie w swoim życiu ingerencji Bożej, ponieważ ułatwia to zrozumienie tego, dlaczego dana sytuacja zaistniała i czego nas nauczyła. Opisanie wspomnień są poświęcone właśnie takim rzeczom, z których możemy wziąć lekcje dla siebie. Możemy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to co spotkało siostrę Henię może zdarzyć się mnie. Być może w przyszłości pomoże to nam w naszych późniejszych życiowych decyzjach. Z tego powodu warto jest podzielić się tym, czego się doznało, by przez to chwalić Pana Boga.

Moja Babcia, siostra Henryka Thol, z domu Czerniak, zwierza się z rzeczy, przy których niejedna łza spłynęła po jej policzku. Najtrudniej jest mówić o sobie, dlatego Babcia przez długi okres czasu była niechętna spisywaniu swoich zwierzeń. Dopiero na prośbę Redakcji zgodziła się przekazać swoje świadectwo Czytelnikom.

Drogo umiłowani w Chrystusie!

Moje życie można podzielić na trzy okresy, które ściśle wiążą się z trzema różnymi miejscowościami, w których mieszkalam: Rzeczyca, Plemiętach oraz Swarzędzu. Urodziłam się w 1932 roku jako pierworodna córka Jana i Władysławy Czerniak. Mój pierwszy okres życia trwał od narodzin do 1949 roku i wiązał się z Rzeczą, małowniczą wsią położoną blisko Kazimierza Dolnego wzdłuż potoku Witoszyńskiego. Kto nie miał okazji być w tym miejscu, może sobie wyobrazić liczne wąwozy, pagórki, pola, a przede wszystkim lasy, w których żyje liczna zwierzyna. Obecnie jest to dobre miejsce na oderwanie się od gwaru miejskiego i pośpiechu codziennego życia.

Moi rodzice wychowali się w kościele katolickim. Jako katolicy starali się żyć zgodnie z wyznawaną wiarą oraz sakramentami, czyli widzialnymi znakami łaski Bożej zwanymi również „tajemnicami”. W konsekwencji tuż po swoich narodzinach, nie będąc jeszcze niczego świadoma, zostałam ochrzczona według pierwszego sakra-

mentu kościoła powszechnego.

W tym właśnie czasie na tych terenach zaczął się prężnie rozwijać ruch badaczy Pisma Świętego, który rozkrzewiał się dzięki łasce i pomocy Bożej oraz przy zaangażowaniu m.in. stryja mojego taty br. Andrzeja Czerniaka (dziadka br. Leszka). Brat Andrzej miał możliwość uczestniczyć w spotkaniu z br. Russellem podczas jego pobytu na ziemiach polskich. Brat ten tak się rozkochał w Prawdzie, że starał się ją przekazać przede wszystkim swojej rodzinie (z siedmiorga dzieci jakie posiadał, pięcioro się poświęciło, w tym jeden z synów zmarł na Majdanku) ale też i innym. Prawda na czasie zbierała swoje żniwo. Wiele osób zainteresowało się głoszonymi naukami, były to zarówno biedne osoby jak i zamożne, ale co też interesujące, były wśród nich i siostry zakonne.

W pewnym momencie mój tata zaczął się interesować tym co dzieje się u jego stryja. Na początku z ciekawości porównywał to, co się mówi w kościele katolickim z tym, co było mówione w domu brata Andrzeja. Z czasem zauważył, że jaśniejsze i bardziej zrozumiałe są słowa mówione na zebraniach u stryja, niż te wypowiadane w kościele powszechnym, gdzie większość rzeczy stanowi tajemnicę. Z czasem przekonało go to, co słyszał i zaczął uznawać słowa mówione na „badackich” nabożeństwach jako objawioną Prawdę, co spowodowało, że zapragnął o niej mówić swojej rodzinie.

Niedługo potem swoje rozmyślanie w Prawdzie przekazał mojej mamie Władysławie, która z początku była sceptycznie do niej nastawiona. Po kilku latach, na konwencji w Wierchowiskach 15 sierpnia 1935r. rodzice postanowili wspólnie poświęcić się Panu na służbę. Wracając do domu zaskoczył ich niecodzienny widok, a zarazem pierwsza próba po przyjętym chrzcie. Przed domem stałam ja obok zapalonych świec, otoczona babcią oraz matką chrzestną, które próbowały „oczyścić” mnie według nich od herezji. Wszystkie te osoby modliły się za mnie, żeby tylko Pan Bóg dał mi możliwość poznania Jezusa Chrystusa, Zbawiciela. Tata na ten widok w pierwszym momencie się przeraził, ale słysząc o co się modlą, ucieszył się. Powiedział im: „Dobrze się modlicie! Miejcie taką nadzieję, że tak się stanie!”. Pomimo, że szczególnie moje babcię były bardzo religijne i zagorzałe w swojej wierze to nie były negatywnie nastawione do mnie i rodziców. Jedynie się martwiły oraz modliły, żeby ich dzieci zmartwychwstały i powróciły, według nich, do właściwej wiary.

W Rzeczyca odbyły się dwie konwencje. Bracia w tamtym czasie żyli z płodów ziemi oraz hodowli zwierząt,



dlatego też mieli często okazję spotykać się po pracy i wspólnie spędzać czas przy Słowie Bożym oraz śpiewie, który był ich największą przyjemnością. Wielu braci w tym czasie dzięki Biblii nauczyło się pisać i czytać. Mój tata od początku starał się mi oraz mojemu rodzeństwu wpajać zasady biblijne. Jedną z jego metod było wspólne czytanie Biblii oraz późniejsze pytania związane z przeczytanymi fragmentami.

Okres wojny i pierwsze lata po niej, to czas prześladowań ze strony nie tylko okupanta, ale też i wyzwoliciela oraz band, które wtedy grasowały. Na różnego rodzaju ataki narażone były szczególnie kobiety i młode dziewczyny. Pomimo tego bracia oraz siostry stawali się coraz bardziej gorliwi, wzrastając przy tym duchowo.

Koniec wojny spowodował wyzwolenie niektórych braci z obozów koncentracyjnych m.in. br. Jana Gumieli z Majdanka. Z tej okazji wiele z braterstwa z pobliskich zborów udało się do Lublina z różnymi prowiantami chcąc jak najlepiej przywitać zmęczonych i wygłodzonych braci. Ja również wraz ze swoim tatą, udałam się na to spotkanie. Nie zraził nas trud jaki musieliśmy ponieść podczas podróży. Z powodu braku miejsca w pociągu jechaliśmy na zderzakach łączących wagony. Liczyła się tylko chęć zobaczenia i przywitania miłych nam braci.

W tym czasie w naszym domu zaczęły się odbywać nabożeństwa, co mnie bardzo ucieszyło. W czerwcu w 1948 na Konwencji w Tuszówku postanowiłam poświęcić się Panu Bogu na służbę. Miałam wówczas niecałe 16 lat. Brat szykujący wykład do chrztu, na widok siedzących w pierwszych ławkach 18 dziewcząt oraz 1 chłopca w wieku 16 -19 lat, postanowił przerwać porządek konwencji. Wraz z innymi braćmi w ciągu około godziny sprawdzał nasze poczucie odpowiedzialności względem czynu, jaki mieliśmy dokonać. Czy się razem umawialiśmy? Jak rozumiemy poświęcenie? Czy powiedzieliśmy o tym rodzicom, zborowi? Po tym egzaminie wszyscy z powrotem udaliśmy się na ławki, nikt nie zrezygnował. Jedynie brata wykładowcę, który był zaniepokojony naszym młodym wiekiem, zastąpił br. Jan Gumieła. W wodzie zanurzał br. Henryk Grudzień.

Rok po tym wydarzeniu, dokładnie w czerwcu w 1949 roku, na konwencji w Zemborzycach, diametralnie zmienił się sposób mojego patrzenia na życie. Z początku nic tego nie zapowiadało. Już podczas podróży z Lublina, w pociągu wypełnionym braterstwem i rozmowami o Stwórcy, mogliśmy poczuć się jak na nabożeństwie. Konwencję w Zemborzycach rozpoczął br. Mikołaj Grudzień. Dzień był piękny, radosny, przepełniony rozważaniami nad Słowem Bożym. Podczas społeczności wieczornej, widząc tak błogą atmosferę, brat Mikołaj powiedział: „dzisiaj tą konwencję rozpoczęliśmy i dzisiaj może ją zakończmy”. Nie

wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że tak rzeczywiście się stanie. Wieczorem siedzieliśmy jeszcze przy stole, rozmawialiśmy, br. Mikołaj zażyczył sobie klusek na mleku, które mu przyniosłam z kuchni. Dyskutowaliśmy na różne tematy biblijne, ale także i o naszej przeprowadzce do Plemiąt. Po konwencji mieliśmy wyjechać z Rzeczy do innej miejscowości i tam osiąść. Brat Mikołaj snuł plany, że będzie pierwszym, który nas odwiedzi, wziął nawet nasz nowy adres. Po tej rozmowie udałam się do gościnnego domu, w którym nocowałam. To były piękne chwile. Z dobrymi myślami położyłam się spać.

Około czwartej nad ranem obudził nas hałas. Dowiedzieliśmy się, że doszło do tragedii, kilka osób zostało zabitych, w tym br. Mikołaj. To było coś okropnego, pełno krwi, karetka, ciała zabitych. Brat starszy, z którym jeszcze nie tak dawno rozmawiałam, który udzielał mi wiele cennych i życiowych rad, który często odwiedzał nasz rodzinny dom, nagle odszedł. Przychochodzą mi na pamięć słowa z **1Tes. 5:12-13** „*A prosimy was, bracia! abyście poznali tych, którzy pracują między wami i którzy są przełożonymi waszymi w Panu, i napominają was; abyście ich jak najbardziej miłowali dla ich pracy*”. Pozostali zmarli, obok których siadaliśmy na ławkach i z którymi wcześniej cieszyliśmy się wspólnymi chwilami, również od nas odeszli. Nie byłam nawet świadoma, że udając się na spoczynek, zabójcy ukrywali się w krzakach i czekali tylko na odpowiednią chwilę, kiedy większość osób zaśnie. Przecież wśród zabitych mogłabym być i ja, ale widocznie Pan miał inne zamiary wobec mnie. Od tej pory zdałam sobie sprawę, czym jest życie chrześcijanina.

Podsumowując ten pierwszy okres życia, nasuwają mi się słowa z manny z 20 stycznia: **„Jeśli znosicie karanie, Bóg się wam ofiaruje jako synom; albowiem któryż jest syn, którego by ojciec nie karał”? Hebr. 12:7** – *Nie można całkowicie rozwinąć charakteru bez doświadczeń. Jest on jak roślina: najpierw bardzo delikatny, wymaga obfitości słonecznego światła miłości Bożej, częstego podlewania deszczem Jego łaski, starannej uprawy poprzez stosowanie wiedzy o Boskim charakterze jako dobrej podstawy wiary i inspiracji do posłuszeństwa. A wówczas, gdy rozwinięty już został w sprzyjających warunkach, gotowy jest, by poddać go oczyszczaniu przez karanie, zdolny jest też znosić pewne trudy.*

I stopniowo, w miarę jak rozwija się siła charakteru, zastosowane wobec niego próby służą jedynie rozwinięciu większej siły, piękna i łaski, aż wreszcie charakter ten jest ostatecznie ukształtowany, rozwinięty, stały, udoskonalony przez cierpienia.

Trzy dni po konwencji, według naszych planów udałam się z rodzeństwem i rodzicami w nieznane dotąd miejsce, do Plemiąt, wsi położonej blisko Grudziądza na Po-



morzu. Pamiętam, że opuszczając naszą rodzinną miejscowość rodzice próbowali nas chronić od biedy, ponieważ coraz trudniej było im utrzymać rodzinę w Rzeczy cy. Z drugiej strony, ze smutkiem porzucaliśmy miejsce gdzie tętniło życie duchowe oraz braterskie.

Mieszkałam w Plemiętach siedem lat od 1949 do 1956r. W życiu chrześcijanina nie ma przypadków, z pewnością czas ten miał mnie wypróbować i jeszcze bardziej wzmocnić. Nie było nam łatwo zaklimatyzować się w nowym miejscu. Z powodu wyznawania innej religii niż powszechnej, spotykałam się z różnymi przykrymi przewiskami i wyszydzeniami od innych. Oddalenie od społeczności braterskiej potęgowało ciężkie chwile, pomimo, że często odwiedzali nas bracia i siostry z różnych części Polski. To jednak nie zmniejszało poczucia naszej samotności. Pomagała mi korespondencja listowna z innymi siostrami w Panu, z którymi dzieliłam się pytaniami na różne tematy związane ze Słowem Bożym. Często były to trudne zagadnienia, więc zadawałyśmy je braciom w macierzystych zborach, którzy wspólnie z nami starali się na nie odpowiadać. Żyłam oczekiwaniem na kolejny list.

Najbliższy zbor znajdował się w Bydgoszczy, około 90km drogi od domu. Chcąc dotrzeć na nabożeństwo, trzeba było wstać o pierwszej w nocy, żeby zdążyć na zebranie o godz. 10. Droga też nie należała do najprostszych, najpierw trzeba było dojść kilka kilometrów na stację, a następnie dwukrotnie się przesiadać z pociągu na pociąg. Powrót do domu był z kolei po 17, na miejsce docierało się około godziny 3 w nocy, a o 6 przeważnie już trzeba było wstawać. Na zebranie często jechało się jedynie co drugą niedzielę. Jedna część rodziny musiała zostać na gospodarce, druga naprzemiennie mogła korzystać ze społeczności. Z tego powodu zrodziła się w nas chęć organizowania konwencji. Dzięki pomocy Pana konwencje odbywały się dwukrotnie w ciągu roku, na wiosnę i w lecie. Szczególnie zapamiętałam największą z konwencji, na którą przybyło bardzo wiele braci i sióstr m.in. z Białogostoku, Gdańska, Lipia, Bydgoszczy, Krakowa, Chrzanowa, Poznania i Swarzędza. Z powodu braku miejsc noclegowych bracia spali nawet w piwnicy czy na dworze w środku skoszonego siana. Było lato, okres żniwa. Przekorny sąsiad, który był posiadaczem jedynego sprzętu koszącego we wsi, wyznaczył koszenie naszego zboża na dzień konwencji. Nie zaburzyło to jednak atmosfery społeczności, a nawet jeszcze bardziej ją scalilo. Pierwszego dnia, po części duchowej, przybyli braterstwo postanowili pomóc nam przy żniwach i razem z nami poszli pracować na polu. Około tego cza-

su zapoznałam swojego przyszłego męża. Co ciekawe dopiero stając się jego żoną pierwszy raz udałam się do jego miejsca zamieszkania. Przedtem nigdy u niego nie byłam. W tamtym czasie wystarczyło mi, że poznałam jego charakter, pracowitość, ale też jego stosunek do Słowa Bożego oraz to w jaki sposób traktuje i szanuje swoich najbliższych.

Przenosząc się do męża w 1956r., do Swarzędza znalazłam się w miejscu zupełnie nowym. Jednak znów mogłam się cieszyć z tego, że w miejscowości w której zamieszkałam znajdował się zbor. Znalazłam miejsce, jakiego potrzebowałam do rozwoju duchowego i stabilizacji. W naszym domu odbywały się nabożeństwa. Dzięki temu, że mój mąż był kolejjarzem mogłam często udawać się na różnego rodzaju konwencje i korzystać ze spotkań z braćmi. Wraz z mężem wychowałam dwie córki, którym od początku staraliśmy się wpajać miłość do Pana Boga oraz Jego Słowa. Zawsze im, jak i wnukom pragnęliśmy pokazywać jak czynić, by podobać się Stwórcy oraz posiadać miłość do braci, a przede wszystkim potrafić im wybaczać. Naszym mottem były słowa z **Joz. 24:15** „*ja i dom mój będziemy służyli Panu*”.

Cieszyłam się bardzo kiedy najpierw córki, a później wnuki postanowili iść tą samą drogą co ja, za Panem. Pragnę tego, żebym zarówno ja, jak i oni wytrwali na tej drodze. Chętnie gościliśmy braterstwo z różnych części Polski i świata i, jeśli Pan pozwoli, chciałabym nadal to czynić. Moim największym celem było zawsze służyć Panu oraz braciom. Korzystałam z wielu łask i błogosławieństw za co dziękuję Panu Bogu. Społeczność z Panem Bogiem i braćmi daje mi siłę i pomaga w trzeźwym patrzeniu na świat.

Nie jestem w stanie opisać wszystkiego co mnie spotkało i co przeżyłam. Raduję się bardzo kiedy kolejne młode osoby wybierają tę samą wąską ścieżkę co ja. Przypominam sobie wówczas własne chwile, jak siedziałam na pierwszej ławce i jakie wtedy miałam myśli. Wszystkim tym, którzy nie uczynili jeszcze kroku poświęcenia chciałabym powiedzieć, żeby decydowali się iść śladem naszego Pana, bo to droga dobrze obrana i rozkosz niesłychana.

wspomnienia siostry Heni spisał wnuk Arek Lecko

Lecko Arkadiusz
R-
„Straż”